OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 17 (29) Stycznia 1868 roku.

Nr 4. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

CZARNOGÓRZE I CZARNOGÓRCY.

W roku 1389 w bitwie na tak zwanem polu Kosowem, niedawno przedtem usadowieni w Europie Turcy, odnieśli wielkie zwycięztwo nad Sławianami, pozostającymi pod wodzą króla Serbskiego Łazarza. Mała tylko część wojowników Serbskich, ocaliła życie chroniąc się w bezpłodne i skaliste góry, znane obecnie pod nazwą Czarnych, a w owych czasach gdzieniegdzie tylko przez nielicznych i ubogich pasterzy kóz zamieszkałe.

Drużyna tych wojowników Serbskich, przybyła tu pod przywództwem niejakiego starszyny Straszmira Jana z przydomkiem Czarnego. Wódz ten nadawszy swym towarzyszom organizację społeczną i przypuściwszy do niej miejscowych mieszkańców, oraz ciągle przybywających innych swych rodaków chroniących się przed uciskiem Turków, stał się wkrótce rządzcą tego nowego kraiku.



Czarnogórcy.— (Rysunek i wycięcie Pani Sulińskiej).

Zkąd powstała nazwa tego kraiku *Czarna Góra* albo lepiej *Czarnogórze*, a jego mieszkańców *Czarnogórcy* czyli jak się sami nazywają *Cernogórcy* — niewiadomo z pewnością. Podług jednych, miała ona powstać przez dobrowolne przyjęcie przez jego mieszkańców do pierwszej naturalnej nazwy *Górzec* czyli *Góral* przymiotnika *Czarny*—na cześć wspomnianego wyżej Straszmira Czarnego; podług drugich zaś, z powodu czarnej barwy jodłowych lasów, któremi góry te miały być dawniej porośnięte. To drugie jednak podanie ma mniej prawdopodobieństwa od pierwszego; trudno bowiem przypuścić, aby tutaj rosły dawniej lasy, kiedy dzisiaj pomimo starannego pielęgnowania, z trudnością tylko utrzymują się jako tako pojedyncze drzewa na tutejszych halach.

Kraj ten w ogóle z wyjątkiem niektórych drobnych miejscowości, przedstawia same jary i skały nagie i bezpłodne. W niektórych okolicach nic nie widać, tylko kupy nagromadzonych kamieni do tego stopnia, że niektórzy Czarnogórcy z tego powodu o okręgu Katańskim mówią żartobliwie;" że kiedy Pan Bóg stworzył świat i rozsiewał kamienie po ziemi, pękł mu worek nad Czarnogórzem i wszystkie kamienie tu się naraz wysypały."

Cały ten kraik liczy obwodu siedmdziesiąt tylko mil. Miast tu niema, a tylko wsie (240) i pojedyncze osady. Stolicą księcia panującego jest Cetynja, jedyna miejscowość mająca niejakie podobieństwo miasteczka; liczy ona oprócz domu książęcego z ogrodem, czterdzieści innych domków zamieszkałych przez urzędników, oraz ośm gościnnych dla podróżnych.

Czarnogórcy tak jak i my są Słowianami i należą do plemienia Serbskiego. Cała ludnosć z pewnością nie wiadoma, dotąd bowiem obliczają tam tylko mężczyzn zdolnych do boju, to jest mogących służyć wojskowo, a tych liczba wynosi od 22,000 do 25,000; w przybliżeniu jednak liczą całej ludności do 150,000. Cały kraj dzieli się na tak zwane *bratstwa* (bractwo-braterstwo) zamieszkujące jedną wieś; *bratstwo* stanowi jedno pokolenie. Każde *bratstwo* składa się z kilku rodzin, w bliższem lub dalszem z sobą pokrewieństwie; ztąd wszyscy mieszkańcy jednej wsi noszą jedno nazwisko i tylko różnią się imionami. Jest to zatem starodawny zwyczaj Słowiański, jaki kiedyś miał miejsce i u nas w Polsce.

Wszystkich *pokoleń* jest 39, *bratstw* 240, a *rodzin* 11,700. — Głowa rodziny nazywa się *gospodar* (gospodarz-pan); zarządza on sprawami domowemi, ale z większą władzą aniżeli to u nas ma miejsce dzisiaj. Na czele *bratstwa* stoi wybieralny *Starszyna* (Starszyna-starosta); na czele zaś pokolenia *glawar* (jakoby *głowarz* po naszemu), do którego należy zarząd wewnętrzny całego pokolenia. Dwa albo trzy pokolenia wybierają sobie *kniaza* (księcia). Na czele okręgu administracyjnego, czyli tak zwanej w Czarnogórzu z turecka *nahii*, stoi *Wojwoda* (wojewoda). W czasie wojny naczelny wódz nazywa się *Serdar* a pod nim *Barjaktor* (chorąży) wszystkie te urzęda sprawowane są bezpłatnie. Wszelkie spory rozsądzają *pośrednicy*, czyli sędziowie pokoju, wybrani przez obie strony spór wiodące. — Podług tutejszych ustaw sądowych, każda kradzież musi być w siedmioro wynagrodzona poszkodowanemu. Rabunek lub inna jaka gwałtowna kradzież nigdy się tu nie przytrafia. Rządzca tego kraju tytułuje się: *Kniaz a Gospodar Slobodne Cerne Gore i Berdah.* Forma rządu jest demokratyczna; sprawy publiczne krajowe załatwiają się na sejmach zbieranych w Cetynji. Od roku 1831 zaprowadzony został Senat złożony z dwunastu senatorów, prezesa i wice prezesa, wybieranych przez panującego księcia. Wyroki karne wykonywa senat za pomocą tak zwanych *kapitanów*, których w całym kraju jest 100, i ich pomocników *pandurów* (żandarmów), których jest 240. Kara za zbrodnię jest bardzo prosta: rozstrzelanie; każdy bowiem Czarnogórzec woli śmierć, niż hańbiącą godność człowieczą karę cielesną. Straż przyboczna książęca składa się z trzydziestu gwardzistów. Dochód skarbu publicznego stanowi podatek z każdej rodziny, wynoszący rocznie na nasze pieniądze około 2 złotych polskich czyli 30 kop. sr. Fundusz ten rozdziela się między wszystkich urzędników, poczynając od senatorów aż do pandurów i gwardzistów. Uposażenie księcia stanowią dochody z majętności ziemskiej zwanej *Iwan Begowina* czyniące 40,000 złotych reńskich oraz część dochodu z połowu ryb w jeziorze Skaderskiem i opłaty sądowe.

Czarnogórcy w ogólności są dobrego wzrostu i prawidłowej budowy ciała, silni i krzepcy, zdrowi i wytrzymali na wszelkie trudy i niewygody, jak głód pragnienie i bezsenność. Młodzieniaszek lat jedenastu już jest zdolny do boju i śmiało staje w szeregach wojowników obok ojca, dziada i pradziada. Bystrość umysłu i szczerość serca jest powszechną między nimi, tak jak miłość i rodziny. Pomimo wrodzonej Czarnogórcom popędliwości i że tak powiemy dzielności charakteru, każdy ma w poszanowaniu swych zwierzchników i jest posłusznym rozkazom władzy krajowej, w pożyciu domowem miłuje spokój, a gościnność mianowicie względem cudzoziemców posuwa do ostaniego końca swej możności. Największą roskoszą w takim razie jest dla gospodarza domu, kiedy swego gościa może obficie uczęstować mięsem, rybą, winem albo gorzałką, choćby następnie sam miał się żywić suchym chlebem, czosnkiem i wodą. Gość każdy nawet gdyby to był i Turek może być pewnym, że w razie potrzeby będzie miał w swym gospodarzu obrońcę, który za niego nawet życie swe poświęci. Czarnogórzec jest skorym do gniewu; za obrazę swej godności lub narodu honoru mściwy; w boju waleczny i srogi jak lew, a przytem wszystkiem pełen dobroci serca. Wymowa i rozmowność jest także wrodzonym mu przymiotem.—Czarnogórcy są jedynym narodem w Europie, nieznającym różnicy stanów z urodzenia, karę cielesną uważającym za nieludzkie okrucieństwo. Podobnież uważają za upodlenie, przyjmowanie wynagrodzenia za chwilową jaką usługę.

Niewiasty Czarnogórskie nie są tak pięknych kształtów jak mężczyźni; rysy twarzy nie tak prawidłowe. Jest to skutek ciężkich prac i kłopotów domowych oraz trudów, ponoszonych przy uprawie roli i pomaganiu we wszystkiem swym mężom i ojcom. Kobiety tutejsze towarzyszą swym mężom, synom, ojcom i braciom w wyprawie nawet na wojnę, niosąc za nimi żywność i amunicję, dróg tu bowiem nie ma a ztąd i wozów używać do tego nie można; nadto ich obowiązkiem w czasie bitwy jest nieść pomoc rannym, unosić ich z pobojowiska i opatrywać rany a nawet brać udział w bitwie przez nabijanie strzelb i podawanie, oraz znoszenie kamieni gdy niemi ze skał można razić nieprzyjaciela (ob. rycinę na str. 25). Mają one także obowiązek dawać zachętę walczącym, a w ostateczności walczyć osobiście pałaszem lub *jataganem* to jest rodzajem długiego i szerokiego puginału czyli sztyletu, oraz czuwać aby nikt z boju nie uciekał i takiego bić fartuchem po twarzy, co jest największą hańbą dla każdego Czarnogórca. Śmierć naturalna jest podług pojęć Czarnogórskich największem nieszczęściem, a największą zniewagą jeżeli się powie: „Znam cię—wszyscy twoi przodkowie umarli na łóżku." Mimo niewolniczej podług naszych pojęć usługi, jaką spełniają Czarnogórzanki mężczyznom, poszanowanie dla kobiet u Czarnogórców jest bardzo wielkie: cześć ich osoby jest świętą dla każdego mężczyzny. Dlatego też nie słychać tutaj tak pospolitego, jak u nas targania się na sławę kobiety... każ-

da dziewczyna w najsamotniejszym nawet jarze jest bezpieczną pod każdym względem. Nietylko uwodziciel ale i potwarca nawet, nieuniknąłby tu kary śmierci. Na jednem gospodarstwie żyje kilka i więcej rodzin pod jednym wspólnym zarządem najstarszego wiekiem, który nierzadko błogosławi narodzeniu się potomka w piątem pokoleniu. W Czarnogórzu rodzi się zwykle więcej mężczyzn aniżeli kobiet, jakby w nagrodę większego ubytku pierwszych z powodu częstych wojen. Ujrzeć tu statca jeszcze w siłach, otoczonego sześćdziesięcioma i więcej wnukami płci męzkiej, nie jest rzadkością. Wczesne żenienie się jest powodem, że rozwiązłość obyczajów nie niszczy zdrowia ciała i duszy tutejszych mieszkańców.

Czarnogórcy z małym wyjątkiem katolików rzymskich mieszkających w dolinie kuczskiej, należą do kościoła grecko-katolickiego. Sprawami kościelnemi zarządza Władyka (biskup), noszący tytuł Metropolity Czarnej Góry, Skadru i Przymorza; wszystkich księży czyli popów jest około pięciuset, a mnichów najwięcej dwudziestu. Każdy ksiądz trudni się jak wszyscy inni tutejsi mieszkańcy rolnictwem, hodowlą bydła i kupiectwem, gdyż opłaty za czynności urzędowe oraz chrzty, śluby itp. nie dają dostatecznego utrzymania. Nie różnią się także zewnętrznie niczem od innych; w czasie tylko sprawowania służby kościelnej odejmują broń, którą zawsze noszą przy boku i za pasem, jak wszyscy Czarnogórcy. Wszyscy tutejsi księża są sobie równi; nie masz tu bowiem żadnych godności i stopni hierarchicznych. Najuczeńszym jest ten, który najlepiej umie czytać i pisać. Mnisi żyją z dobrowolnych darów; zbierać jałmużnę nie wolno im jednak. Miejscami trudnią się niektórzy gospodarstwem rolnem. Ubiór mnichów tutejszych jest takiż sam jak innych greckich; od księży świeckich, którzy noszą jak wszyscy Czarnogórcy tylko wąsy, różnią się długą brodą. Podobnież jak księża świeccy noszą także broń i jak oni biorą udział w bitwach. Kościół jest prawie w każdej wsi, a klasztor w każdéj *nahii*, lecz nie w każdym są mnisi. — Szkoła jest tylko jedna w Cetynji, gdzie uczą czytać, pisać, arytmetyki i historji biblijnej. — Lekarzy nie ma wcale i nie zachodzi ich potrzeba, ponieważ oprócz poranień w czasie wojny, a miejscami niekiedy zimnicy, Czarnogórzec nie podlega tak łatwo jak my chorobie. Przytem leczeniem zajmują się staruszki, używające do tego domowych środków.

Stan polityczny i własności ziemi, zmuszają Czarnogórców do zajmowania się więcej hodowlą bydła, aniżeli rolnictwem; owce i kozy są najgłówniejszym majątkiem każdego; mniej cenią trzodę chlewną i rogaciznę; koni chowają mało i w miejsce tych używają mułów. Stada swe pasą latem w górach, gdzie podobnie jak Górale Tatrzańscy, wyrabiają masło i ser. Z płodów rolniczych udaje się tu kukurudza, żyto, niewiele pszenicy, jęczmień i owies, oraz rośliny strączkowe i ziemniaki. W niektórych okolicach rosną owoce i wino; hodują pszczoły i jedwabniki. Górnictwa nie znają nawet z nazwiska, chociaż wszystko przemawia za tem, że Góry Czarne muszą zawierać pewne kruszce.

Główną żywność Czarnogórców stanowi: ser, mleko, oraz mięso skopowe i koźle. Dla gości lub na wielkie uroczystości, pieką całkowite skopy i kozy na rożnie pod gołem niebem. Chleb wypiekają zwykle z mąki kukurudzianej w zamożniejszych tylko domach z pszenicy. Wstrzemięźliwość w napojach gorących jest wielka, pijacy tu nie są znani. Tytoń palą wszyscy Czarnogórcy i takowy sami uprawiają. Żebraków nie ma; spotykani niekiedy ślepcy żebrzący śpiewem, są przybylcami z sąsiednich krajów sławiańskich.

Ubiór Czarnogórców tak powszedni jak i odświętny jest jeden i ten sam, jest bardzo malowniczy i gustowny: kabat (świta) do kolan z wązkiemi rękawami, jest z białego grubego sukna domowego wyrobu; szerokie spodnie z sukna modrego, kończące się poniżej kolan zawiązką, zkąd zaczynają się białe sukienne obcisłe kamasze aż do kostek, obwiązane kolorowemi paskami. Obuwie stanowią skórzane łapcie lub trzewiki. Głowę nakrywają czerwoną sukienną okrągłą czapką, niekiedy obwiniętą chustką na sposób tureckiego zawoju. Koszule nie są w użyciu. Wielu jednak pod kabatem, nosi sukienną najczęściej czerwoną kamizelkę; zamożniejsi zaś na kabat wkładają jeszcze sukienną czerwoną lub zieloną kazajkę (kaftan) bez rękawów, często obszytą galonem a zawsze szamerowaną. Na wierzchu opasują się pasem czerwonym wełnianym, za który zatykają pistolety i *kandżar* (kindżał). Oprócz tej zwykłej broni, Czarnogórzec chętnie stroi się jeszcze w długą strzelbę, którą zawiesza na plecach przez ramię. Piękna i dobra broń, ma wielkie znaczenie w stroju każdego Czarnogórca. Od deszczu i zimna chroni go szaraczkowa gunia, która w nocy służy mu za kołdrę.

Kobiety noszą lniane i wełniane koszule, haftowane na piersiach i rękawach; długi kabat z białego sukna przepasany szerokim pasem skórzanym, a na tem wszystkiem dopiero szeroką suknię sukienną bez rękawów. Noszą fartuchy różnobarwne z frędzlami. Nogi obuwają w pończochy i buciki bez cholew. Oprócz tego, każda ma także jak mężczyźni gunię. Mężatki okrywają głowę chustką, dziewczęta czapeczką. Włosy splatają w dwa warkocze, które zwieszają się na piersi.

Domy czarnogórskie są murowane z kamienia, prawie bez ozdób, ale są mocno zbudowane i to blisko jeden drugiego. — Każdy niemal opatrzony w strzelnice. — Domki zbudowane na stoku góry są piętrowe dół zajmują zwierzęta. Drzwi i okien nie zamykają tu nigdy.

Czarnogórzec nie lubi rzemiosła; uważa je nawet — jak to i u nas jeszcze niedawawno było — za coś poniżającego; dla tego też wszelką odzież wyrabiają kobiety, a istniejące tam rzemiosła są zwykle w rękach cudzoziemców, będących zbiegami wojskowymi austrjackimi i tureckimi. Niektóre tylko drobne przedmioty, jak fajki, wyrabiają sami Czarnogórcy i to tylko tak sobie, dla zabicia czasu. Błędne to i szkodliwe uprzedzenie do rzemiosł, nie rozciąga się jednak do rzeźnictwa; Czarnogórcy doskonale umieją wędzić mięso skopowe i koźle, którym znaczny prowadzą handel do Dalmacji i Włoch, gdzie wędlina ta znana jest pod nazwą *kastradina.* Kupiectwem trudni się prawie każdy, a zbyt płodów miejscowych jak owce, kozy, skóry, ryby, wełna, ser, wosk, czosnek, cebula itp. odbywa się w mieście portowem Katarze.

Zabawy towarzyskie mają głównie na celu ćwiczenie ciała i wyrabianie siły fizycznej, bieganie i przeskakiwanie o zakład, rzucanie kamieni do celu lub na odległość, oraz strzelanie do tarczy. Zwykłym tańcem jest jak u wszystkich Serbów tak zwane *koło;* muzykę zaś stanowią dudy i flet. Podczas zimy wieczorami bawią się w różne wesołe gry lub opowiadaniem rozmaitych gadek, albo śpiewaniem pieśni, których mają obfitość—a wszystkie opiewają sławne czyny narodowych bohaterów.

Od bitwy na polu Kosowem niedługo upłynie pięć wieków. Te pięć wieków to nieprzerwana wojna Czarnogórskich Sławian z Turkami. Jeżeli chwilowo ucichną strzały, umilknie gwar wojenny, zagasną pożary, to dla tego tylko, aby znowu wybuchnąć z tem większą siłą. Walka zniszczenia, bój na śmierć i życie, wzajemne rzezie i rabunki połączone z obustronnem okrucieństwem—to stronnice księgi czarnogórskich dziejów, pisane na przemian krwią chrześcian i mahometanów, — „długi poemat bohaterski, zaczęty przed trzystą laty" — jak się wyraził francuzki podróżnik C. Robert — „do którego każda nowa bitwa dodaje nowy ustęp opiewający sławę tego narodu."

Turcy mając dyplomatycznych ajentów w całej Europie i dzienniki różnojęzyczne za pieniądze, okrzyczeli przed światem ten dzielny narodek rozbójnikami, pod włoskiem nazwiskiem *Montenegrynów*, o których i my do niedawna czytywaliśmy w naszych dziennikach te potwarze, nie wiedząc, że to mowa o naszych pobratymcach, broniących tylko swej ojczystej siedziby od łakomego mahometanizmu.

Prawda, że Czarnogórcy nie przebierają w środkach kiedy idzie o obronę; nieraz nawet sami zaczepiają Turków, ale wina tego spada na tych, którzy ścieśnili Czarnogórców na szczupłych tylko odcinkach ziemi ornej w wąwozach gór, niemogących wyżywić całej ludności, a głód prowadzi do ostateczności każdego a tem bardziej walecznego górala tutejszego, urodzonego i wzrosłego że tak powiemy w pośród dymu prochowego, świstu kul i strumieni krwi.

W takich warunkach bytu, Czarnogórcy muszą uważać wojnę za sposób do życia, i starać się nawet o nią. Nic więc w tem dziwnego, że kto ściął więcej głów tureckich, ten ma większe znaczenie u współobywateli; że tchórzowi i niewieściuchowi czarnogórska dziewica nie odda oblubieńczej ręki i że z dzielnym małżonkiem chętnie spieszy na pole bitwy, i wraz z nim umiera od nieprzyjacielskiej kuli lub kindżału.

Ale nadchodzi już czas lepszej przyszłości dla Czarnogórców, nadzieja ustania mordów i pożogi, dzięki wdaniu się mocarstw europejskich, które nareszcie uznały, że Czarnogórcy nie są rozbójnikami napadającymi posiadłości tureckie, a tylko obrońcami swego mienia i życia.

W tę lepszą przyszłość Czarnogórcy silnie wierzą, a wiary tej dowodem jest podanie ludowe o jaskini, leżącej przy ujściu rzeki Czernojewicy opodal miejscowości, na której wznosiła się niegdyś warownia zwana *Obodem.* W jaskini tej Iwan Czarny a w opowieści „Ojciec Czarnogórców" nazywany, śpi dotąd na łonie *Wil* czyli *Rusałek*, które nad nim czuwają gotowe zbudzić go właśnie w tę porę, gdy miłosierny Bóg uzna za potrzebne, aby miłym Mu Czarnogórcom znowu dostało się w posiadanie miasto portowe Katar i morze Modre czyli Adrjatyckie.

Ad. N. Nakęski.

ŚNIADANIE POD POMPĄ.

Obrazek miejski

(Dokończenie.—Patrz Nr. 3).

Bywało dawniej kiedym był młody i silniejszy, zarabiałem więcej jak dziś. Wtedy myślałem sobie: że mi rąk moich wystarczy, żeby zapracować na żonę i dzieci, jeśli je Pan Bóg da wychować na poczciwych ludzi. Ale widać się to Panu Bogu nie podobało, bom się z żoną cieszył nie długo i dwoje dzieci które miałem, wkrótce mi poumierały.... Zostałem sam jak palec... Od tego czasu praca moja wystarcza mi na to, żeby sobie czasem jakiego zbytku pozwolić, — ah! upić się z przeproszeniem pana, jak to robi nie jeden.... ale ja tego nie chcę i wolę co mi zbywa schować, żebym jak mi sił zabraknie nie musiał iść do szpitala, albo nie był ludziom ciężarem.... I nieraz kiedy sobie myślę, czy jestem szczęśliwy, to mi się zdaje że jestem... że byłbym nieszczęśliwy dopiero wtedy, gdyby mi zabrakło na ten skromny kawałek chleba do którego w życiu przywykłem i nad który więcej nie pragnę... To też gdy zobaczę kogo, komu braknie nie na żadne zbytki, ale na to do czego się urodził, i do czego się przyzwyczaił od dziecka, to mi się serce kraje i myślę sobie: „Nieszczęśliwy człowiek!" Tak samo mi się serce zakrwawiło kiedym zobaczył dzisiaj, że panicz siada obok mnie do tej samej kapusty pod pompą.

— Ależ, panie traczu, to było... — chciał przerwać Bronek.

— Nie gniewaj się paniczu, za moją otwartość, kończył nie dając sobie przerwać stary, — co mówię to ze szczerego serca panie. Panicz nie jesteś stworzony do takiego jadła.... dla ciebie kurczątka, ptaszki, frykasy.... tamto dobre tylko dla prostych ludzi co pracują piłą i siekierą, co sobie głowy nie łamali nad naukami, którzy nie mieli rodziców, coby ich wypieścili i wychuchali, którzy czarny chleb jedzą z dziada i pradziada... Panicz nie powinieneś tam jadać... mógłbyś od tego zachorować, broń Boże!....

— Lecz... — zaczął znowu Bronek.

— Wiem, co panicz chce odpowiedzieć — znów nie dał mu dokończyć starzec, — kiedy nie ma na lepsze, to się byle czem obyć trzeba. To pięknie, że pan tak myśli. Pan Bóg panicza pobłogosławi za to, i praca jego wyjdzie mu na dobre. Ale tymczasem są przecież ludzie, co rozumieją nieszczęścia i co na takie rzeczy pozwolić nie mogą. Ot... paniczu.... nie gniewajcie się tylko... ja mam nie wiele, ale i tem podzielić się mogę... nim to wyjdzie, to sobie panicz piórkiem zarobi na coś lepszego jak tamto pod pompą... a jak panicz będzie miał kiedy pieniądze, to mi odda...

To mówiąc poczciwy drwal wydobył z jakiejś skrytki połowę, może większą, swych długoletnich oszczędności, i na prosty niemalowany stół przed zdumionym i wzruszonym do głębi serca Bronisławem, wysypał trzydzieści nowiuteńkich srebrnych rubli.

— Weź to paniczu, nie krwaw mi serca, weź— prosił starzec drżącym z wzruszenia głosem, — ja

mam z czego żyć, a pan byś umarł od takiego jadła.

Pozwolimy sobie zapytać tutaj czytelników, jakby postąpili gdyby ich przypadek postawił w położeniu naszego bohatéra?...

Ażeby odrzucić stanowczo bezinteresowną i szlachetną pomoc poczciwego starca, trzeba było się przyznać że się na nią nie zasłużyło, że postępek który go wzruszył i przejął tak głęboko, był tylko komedją i żartem. Bronisław nie miał odwagi zrobić takie wyznanie, wstydził się tego. Gdyby powiedział, że nie potrzeba ale fantazja skłoniła go iść na śniadanie pod pompę, w umyśle starca mogłoby powstać podejrzenie, że sobie lekceważył tych, z którymi usiadł do wspólnego stołu, ich poczciwy niedostatek, ich nędzę. Przykroby mu było być pomówionym o to, zwłaszcza że do tego rodzaju winy się nie poczuwał. Próżno szukał sposobu wymówienia się od przyjęcia pomocy bez wyprowadzenia starca z błędu co do rzeczywistego swego położenia, ażeby więc nie stracić tego szacunku i zaufania na które niczem nie zasłużył, powiedział sobie że przyjmie ofiarę, aby nie zasmucać poczciwca, a przyjaźni i współczucia jakich otrzymywał dowód stania się godnym w przyszłości.

— Panie traczu—rzekł po nijakiem wachaniu — dajecie mi nowy dowód tej starej prawdy, że najprędzej prawdziwa bieda nad biedą ulitować się potrafi. Położenie moje nie jest tak przykrem, żeby mi aż tak wiele było potrzeba, przyjmuję jednak co mi ofiarujecie, bo mam nadzieję, że wam to zwrócę bardzo prędko! i że kiedyś... poźniej... jeżeliby wam co nie daj Boże, bieda dokuczyła, udacie się do mnie.

— Jak w dym paniczu, jak w dym paniczu,— przerwał uradowany starzec, — pan się nie wstydzisz biednych... pan jesteś poczciwy człowiek... my biedacy jak w nieszczęście popadniemy, to się oglądamy tylko za poczciwem a nie dumnem sercem.

Bronisław uścisnął dłoń starca, zabrał pieniądze i wyszedł, unosząc z sobą tę nowo zdobytą prawdę: „że człowiek w nieszczęściu, prędzej znajdzie pomocną rękę w niższych jak u wyższych, byle tylko tym niższym nie okazał wzgardy i wstrętu”.

* * *

Kollegjum, na wezwanie którego nasz bohatér odbył swą heroiczną wyprawę pod pompę, napróżno oczekiwało go w winiarni.

Nazajutrz dopiero Bronisław mógł zdać sprawę z tego, co go w dniu poprzednim spotkało.

Entuzjazm był do nieopisania. Wynalazca ciemnoty cofnął swą mocją o przesądach i śmieszności i zaproponował, żeby Bronka ogłosić odkrywcą cnót i współczucia. Improwizator z tego tematu wysnuł dwadzieścia kilka patetycznych strofek. Lingwista progeniturę traczów wyprowadzał z Tracji. Inni obiecywali wypadek uwiecznić piórem i ołówkiem, wydając o nim książkę z illustracjami, do spełnienia jednak tej obietnicy nie przyszło.

Bronek w krótkim czasie miał sposobność wywdzięczenia się starcowi.

Kiedy w kilka dni potem przyszedł do niego ażeby się uiścić z długu, zastał go złożonym chorobą, na łożu z którego miał nie powstać. Zrozumiał zaraz co mu uczynić wypadało. Otoczył poczciwego człowieka całą pieczołowitością jakiej stan jego wymagał, przez kilkanaście dni nie odstępował go prawie, a gdy starzec błogosławiąc jego przyszłości zamknął powieki, bohatér nasz zajął się sprawieniem przyzwoitego pogrzebu i postawieniem na grobie jego skromnego krzyża, na którym obok napisu polecającego jego duszę pamięci i modlitwom przechodników, stały wyrazy świadczące: „że zmarły będąc biednym, potrafił być dobroczyńcą bogatego.”

O MOWIE ZWIERZĄT.

Po kilku dniach Listopadowej słoty, zajaśniało przecie znowu słońce; trzeba skorzystać z pięknej pory, powiedziałem sobie i wziąwszy kapelusz i laskę, wybrałem się na spacer. Gdzieby tu pójść, mówiłem sobie? Ten Paryż w którym od lat trzech już mieszkam, taki nudny, tak mi się sprzykrzył, że przechadzka po jego ulicach z dwóch stron pięcio lub sześcio-piętrowemi kamienicami obstawionych, wcale mi przyjemności nie zrobi. No, trzeba jednak gdzieś iść, bo stać i namyślać się przed domem, to wcale niewypada. Naprzód pójdźmy, pomyślałem sobie i poszedłem prosto, zatrzymując się tu i owdzie przed świetnemi wystawami sklepów, które Francuzi z takim nieporównanym gustem umieją urządzać. Tak przeszedłem sobie z ulicy Pokoju w cyrkule Batiniolskim gdzie teraz mieszkam, przez ulicę Wielką, przez Batiniolski bulwar, na Amszterdamską ulicę. Tam na wprost stacji kolei żelaznej do Hawru idącej, posłyszałem kogoś odzywającego się do mnie ze drzwi sklepu: „A! *Bon jour!* A cóż się to z panem robi, myślałem żeś pan już opuścił Paryż; a to już z miesiąc nie byłeś pan tutaj.” Był to jeden ze znajomych mi księgarzy, po którego przywitaniu już miałem dalej pomaszerować sobie, kiedy on powiedział: „Patrzajno pan, co to tu rozmaitych nowości, wstąp na chwilę do sklepu a pokażę panu wiele ciekawych książek, które od czasu ostatnich pańskich odwiedzin przybyły do mojej księgarni.” Stary nałóg zawsze w człeku bierzę górę, to też i ja zapomniawszy o tem że się na spacer wybrałem, zasiadłem sobie nad całym stosem książek, jakie drukarnie paryzkie sypią, jak z rogu obfitości ciągle.

Po obejrzeniu a raczej przejrzeniu wielu najrozmaitszej treści i wartości książek i książeczek, wpadł mi nowy tomik w rękę tak zwanej *Biblioteki cudów*, rzeczywiście publikacji bardzo ciekawej i nauczającej. Tytuł tego tomika był: *O akustyce, czyli zjawiskach głosu.* Począłem go skwapliwie przeglądać i rzeczyście nie jedną zajmującą tu wiadomość znalazłem. „Natura nieorganiczna—powiada pan Radau, autor wspomnionego dziełka—wydaje tylko łoskot. Głos bowiem uderzającego piorunu, druzgocącego uraganu, lub szalejącego pod czas burzy morza, jest tylko pomięszanym łoskotem. Można jadnakowoż i od wiatru otrzymać hormonijne tony, stawiając na przeciw jego podmuchów eolską harfę, której struny wtedy będą mile dzwięczyć.”

„W świecie jednak zwierząt spotyka się niesłychaną rozmaitość muzykalnych głosów, które stanowią prawdziwą mowę zwierzęcą. Ptaki, psy i w ogóle wszelkie zwierzęta, wydają wcale inny krzyk kiedy są w gniewie, a zupełnie inny, kiedy są wesołe lub cieszą się z czego, a znowú jeszcze odmienny, skoro cierpią lub są chore. Głos ich jest ostry, kiedy doznają gniewu lub jakiegoś nieprzyjemnego uczucia — w innych zaś razach jest przyjemny, zadowolnienie wyrażający.”

W Wiedniu jeszcze w roku 1800 wydał dzieło niejaki Wetzel pod tytułem: *Nowe odkrycia w języku zwie-*

rząt, oparte na podstawie rozsądku i doświadczeń. Autor ten powiada, że zwierzęta mogą się z sobą jak najlepiej porozumieć za pomocą swego głosu rozmaicie wydawanego, który stanowi właściwy im język czyli mowę. Nie tylko one z sobą się w tej mowie porozumiewają, ale nawet starają się one swoje uczucia i potrzeby przez nią człowiekowi wyrazić. Język ten można nawet przy pracy tak poznać i nauczyć się nim przemawiać, jak to np: Polak uczy się różnych cudzoziemskich języków, aby mógł potem rozmawiać z Niemcem, Francuzem, Anglikiem lub Hiszpanem. Język zwierząt, powiada ów Wetzel, tem jest godniejszy badania, że w nim nie ma kłamstw wcale; zwierzęta bowiem zawsze powiadają prawdę.

W dziele Wetzla znajdują się nawet początki słownika mowy różnych zwierząt, który dwadzieścia stronnic zajmuje. Autor posunął się tu aż do przetłómaczenia na język niemiecki, wedle swoich zasad, wielu rozmów psów, kotów, kur i różnych ptaków. Przytacza on rozmowę, złożoną z półgłosem robionych mruczeń, jaką powiada, że podsłuchał prowadzoną pomiędzy czterema lisami zamkniętemi w klatce; przedmiotem tej rozmowy lisiej była narada, w jakiby sposób należało postąpić sobie, aby ujść z więzienia. Powiada on dalej że podsłuchawszy tę naradę, ostrzegał właściciela że się lisy zmawiają do ucieczki. Właściciel śmiał się niechcąc wierzyć, aż nazajutrz powiada mi: „Miałeś słuszność! Patrz! uciekły dzisiejszej nocy." Nie wątpliwą to jest rzeczą że badając zwierzęta, można wydawane przez nie głosy rozumieć choć w pewnej części, a nawet przemawiać niemi po trosze do zwierząt i być od nich zrozumianym. Przytoczymy tu pewne opowiadanie:

Odwiedzając kogoś z moich znajomych w szpitalu wojskowym, powiada pan Radau, poznałem tam pewnego starego oficera. Był to Marsylczyk, człowiek żywych ruchów, gadatiwus jakich mało, ale w gruncie szczery i uczciwy człowiek, choć przy każdej rozmowie z przyzwyczajenia tak klął straszliwie, że aż się szyby trzęsły. Lubił on bardzo wszystkie zwierzęta i gdzie tylko był, zaraz się zajmował ich, jak powiadał, cywilizacją. W szpitalu ucywilizował wszelkie koty, co zważając na ich naturę niepodległą i do wagabundy skłonną, wcale nie jest łatwą rzeczą. Kiedy mu przyniesiono obiad, wydawał pewnego rodzaju miauczenie, a na to wezwanie spieszyły koty zewsząd, nawet z najoddaleńszych miejsc zakładu i postawiwszy ogony do góry, nuż miauczyć i obcierać się o niego. Myślałem sobie, nic to dziwnego, posłyszawszy hasło koty biegły bo się nazwyczaiły o tej godzinie jedzenia dostawać, ale to robią machinalnie. „One mnie dobrze rozumieją, powiadał stary oficer, one mnie dobrze rozumieją jak ich wołam, gdyż ja mówię po kociemu. Znam ja i psi język, a nawet małpim językiem wyrażam się lepiej, jak same małpy." „Co też pan niewygadujesz, odpowiedziałem śmiejąc się." „Jakto! to nieprawda? A żeby cię miljon sto tysięcy trzasło! Czekaj! pójdziemy jutro do Botanicznego ogrodu, to się pan sam naocznie przekonasz."

Nazajutrz udaliśmy się do Botanicznego ogrodu, w którym się znajdują różne jak wiadomo zwierzęta. Stary oficer zaprowadził mnie do Pałacu małp, gdzie zaledwie przybywszy, usłyszałem go odzywającego się głosem gardłowym:

Kirruju! Kirrikju! Kuruki! Kirrikju!

Podaję tu tylko w przybliżeniu głosy wydawane przez starego oficera, gdyż naszemi literami trudno je oznaczyć.

Kirruju!

Trzy małpy poskoczyły i zatrzymały się przed nami.

Kirrikju!

Cztery inne poszły jeszcze za przykładem pierwszych.

Kuruki!

Stanęło ich z tuzin przed nami.

Kirrikju!

Wszystkie już mieliśmy przed sobą. Wtedy stary oficer rozpoczął z niemi jakąś rozmowę tym dziwnym językiem z dziesięć minut trwającą, podczas której w różnych pozycjach stojące i przewalające się po ziemi małpy, śmiały się, machały rękami, przewracały kozły, przysłuchiwały się i tym samym głosem odpowiadały, okazując jak największe zajęcie.

Nareszcie stary oficer zrobił giest że się chce oddalić, a tu całe zgromadzenie poczęło się niepokoić, jakieś dziwne piszczące głosy wydawać, z których wnioskowałem, że muszą znaczyć: Mój drogi, zostańże choć chwilę.

Marsylczyk przemówił jeszcze słów kilka, które dobry humor całej tej czeredzie przywróciły. Poczeliśmy się jednak od okratowania tej rezydencji oddalać, a tu małpy w nowe prośby. Nic niepomogło, odchodziliśmy dalej i tylkom nowe *Kirrikjujuju!* posłyszał, które widać stary oficer jako ostatnie pożegnanie wymówił. Obróciłem się jeszcze i ujrzałem jak na najwyższych szczeblach stojące małpy, dawały ciągle znaki pożegnania staremu oficerowi. Niektóre nawet coś wołały do niego przez kraty, co mi się zdawało że musi znaczyć: A nie zapominaj o nas! Jeżelibyś prędko nie mógł przybyć znowu, to choć napisz jak ci się powodzi.

„A co! żeby cię bomby rozerwały! Nie umiem języka małpiego? powiedział do mnie uradowany oficer. Oj! wy młodzi! wy to niczemu wierzyć nie chcecie, wam się zdaje że wy tacy mądrzy, a wy nic nie umicie."

Pożegnałem się z moim księgarzem, a ponieważ parę godzin zeszło mi w jego sklepie, więc zamiast dalej iść na przechadzkę, zawróciłem z powrotem ku domowi. Na Batiniolskim bulwarze spotkałem się z panem Janem Ligman, jednym z moich dobrych znajomych, a który był wielkim zwolennikiem myślistwa. Ponieważ w jednym szliśmy kierunku, więc poczęliśmy rozmawiać o różnych nowościach, a potem weszliśmy na przedmiot o mowie zwierząt, o której właśnie co czytałem.

Co do mnie mówił p. Ligman, nie zaprzeczam temu wcale że zwierzęta posiadają mowę, której używają do wyrażenia nawzajem swych uczuć, a jeszcze więcej potrzeb. Nieraz kiedy byłem na polowaniu, wabiłem różne zwierzęta naśladując ich głos, jak to zwykle używa się w myślistwie i zawszem dobry skutek odnosił, bo zwierzęta których głos naśladowałem wychodziły do mnie. Otóż czemu one przybywały do mnie; bo naśladując ich głos wymawiałem pewne wyrazy z ich własnej mowy, tak że one sądziły, że to przemawia do nich inne z tego rodzaju zwierzę. My myśliwi wabiąc do siebie dla lepszego strzału zwierzęta, wymawiamy ich wyrazy z właściwym akcentem, nie wiedząc wcale co one jednak znaczą, tak jak moglibyśmy nauczyć się dokładnie wymawiania niektórych słów chińskich, albo japońskich. Uczonym Niemcom pozostaje dojść znaczenia tych wyrazów zwierzęcych, które my myśliwi umiemy tak dobrze naśladować. I wcale bym się nie dziwił temu, gdyby oni kiedy doszli, że te wyrazy któremi przywabiamy zwierzynę znaczą np: w języku sarnim, zajęczym lub bekasim: Kochańciu chodźno do mnie! albo: Ach! jaka tu pasza soczysta!

Zygmunt Gawarecki.

SOKOŁ.

Rodzaj ptaków drapieżnych, powyższą nazwą mianowanych, składają: 1) *Sokół* (właściwy); 2) *Orzeł;* 3) *Myszołów;* 4) *Pszczołojad;* 5) *Rybitwa* czyli *Rybołów;* 6) *Kania;* 7) *Jastrząb*, oraz 8) *Błotniak*. Z tych znowu do pierwszego podrodzaju należą: *Raróg*, *Kobus*, *Drzemlik*, *Pustułka* i *Pustułeczka*; do drugiego zaś: *Orzeł właściwy*, *Orzeł włochaty*, *Orlik* i *Bielik*; do trzeciego: *Myszołów właściwy*, *Myszołów wschodni* i *Myszołów włochaty*; czwarty nie ma odmian; do piątego znów podrodzaju należy: *Rybołów właściwy* i *Rybołów Krótkoszpony;* do szóstego: *Kania właściwa* i *Kania czarna;* do siódmego: *Jastrząb właściwy* i *Krogulec;* nakoniec do ósmego: *Błotniak właściwy*, *Błotniak zbożowy* i *Błotniak popielaty*. Cały więc ten szereg ptaków mniej lub więcej znanych, stanowi jeden rodzaj Sokoła, ale tylko w nauce, która nazywa się greckim wyrazem *Ornitologja* a co po polsku możnaby przetłómaczyć na *ptakoznawstwo*; w polskiem zaś pojęciu zwykle rzecz się ma inaczej: jeżeli bowiem mówimy o orle, nie myślimy wtedy ani o sokole, a tym mniej o kobusie lub rybitwie — i odwrotnie. Czy to jest dobrze? — nie. Dowodzi to tylko tego, że za mało jesteśmy obeznani z naukami przyrodniczemi—z naukami, które wiele uzacniają człowieka i rozświecają rozum, odkrywając nam tajemnice i cuda Przyrody oraz wszechmocność Boga.

Jedną taką tajemnicę mądrości Bożej, odkryła nam nauka w kilku rodzajach Sokoła.

Głupota ludzka połączona z lekkomyślnością, dotąd jeszcze nakazuje wytępiać do szczętu wszystkie tak zwane ptaki drapieżne jako szkodliwe człowiekowi, kiedy tymczasem wielka ich liczba jest nam wielce pożyteczną. Do rzędu takich między innemi należy *myszołów*.

Ptak ten przybywa do nas z krajów północnych zwykle dopiero w jesieni, kiedy już mnóstwo myszy znajduje się po polach i stodołach; niekiedy jednak przylatuje już i na wiosnę. Jak doskonałym jest on obrońcą naszego chleba, dowodem tego jest to, że do nasycenia się potrzebuje na dobę szesnaście najmniej myszy, co na rok wynosi do 6,000 sztuk. Żarłoczność ta bywa jednak większa niekiedy, bo znajdowano już w jego żołądku i po trzydzieści, zwłaszcza jeżeli te są małe. Jakież więc głupstwo zrobili w r. 1855 na wiosnę owi Niemcy pod miastem Gotą, co to dla zabawki w przeciągu trzech tygodni zabili 400 tych użytecznych ptaków! O i wielkie. Ale ciężko ich też za to Pan Bóg skarał strasznem rozmnożeniem się myszy, które prawie wszystko zboże wyjadły w tej okolicy;—a nie byłoby tego, gdyby owe 400 myszołowów pozostały przy życiu. Byłyby one bowiem wytępiły przynajmniej pół trzecia miljona tych szkódników, nie licząc tego, coby i młode zjadły myszołówki.

O pożyteczności myszołowa przekonywają różne zdarzenia, a między temi i następujące.

W jednej wsi tuż pod Wrocławiem (w Szląsku Prusskim), w lecie 1857 r. w przeciągu siedmiu tygodni złowiono przeszło 200,000 myszy. Fabryka wrocławska sztucznych nawozów płaciła za każde dwa tuziny po groszu. Pewien znów rolnik w jednem z księstw Saskich oszacował swą szkodę, jaką mu myszy wyrządziły w r. 1856 na 9,000 zł. a przychodziły one do stodół w takiej ilości, że każdy gospodarz przy uprzątaniu sąsieków zabił przeszło 2000 tych żarłoków, co uczyni na miarę czubaty korzec warszawski.

Kazimierz Wodzicki w swej książce „*O wpływie jaki wywierają ptaki na gospodarstwo łąkowe, polne i leśne*" i t. d. opowiada, że:

„W r. 1849 w powiecie Mogilskim (w Królestwie Galicyjskiem) namnożyła się tak wielka liczba myszy u jego znajomego, że pregryzłszy korzonki koniczyny zniszczyły całe pole; pszenica mimo najpiękniejszej jesieni widocznie rzedniała co dzień więcej; że napotykał krocie mysich kryjówek a w każdej odkopanej znajdował po pół kwaterku czelnej pszenicy. Ileż więc korcy musiał utracić ten z kilkudziesięciu morgów? Istotnie roiły się myszy na koniczynie, pszenicy i w ziemniakach, tak, że człowiekowi ręce opadały z powodu niemożności zaradzenia temu; lecz dobroczynna Przyroda sprowadziła owych stróżów porządku i wstrzymała klęskę w kilku miesiącach. W Sierpniu nadleciało myszołowów i błotniaków tak wiele, iż się zdawało, że się zleciały z całego kraju, nawet czas ich odlotu minął a one jeszcze żerowały. W zimie dokonały wytępienia myszołowy włochate. Tak to mądrość Boża za pomocą cudu Przyrody położyła koniec klęsce. „Patrząc na to zjawisko, cieszyłem się z niedostatku broni w kraju, bo w przeciwnym razie wszyscy myśliwi byliby wybiegli strzelać owe ptaki, niby to oddając nam usługę" kończy autor rzeczonej książki.

Myszołowy oprócz tego mają jeszcze inne przeznaczenie: tępią one także i żmije.

Podobnież bardzo pożyteczną jest *Kania*, która doskonale umié łowić myszy. Żyje ona tam gdzie myszołów nie przychodzi; przebywa zaś zwykle na wieżach i w pobliżu lasów.

Kobus, (zobacz rycinę na str. 32-ej), który do nas przylatuje na początku wiosny a odlatuje w pierwszéj połowie Października, żywi się także myszami a w dodatku i szarańczą. Gnieździ się w lasach i sadach, ale tylko na wysokich drzewach. Ptaki te niemiłosiernie są wytępiane w Niemczech i Polsce zwłaszcza przez owych myśliwych, co to chybiają zwykle zająca i bystrolotnego ptaka. Ale i rolnicy grzeszą nielada wycinając na miedzach i łąkach za przykładem Niemców wysokie grusze i dęby, mniemając, że robią dobrze. Lepiejby zrobili, gdyby poszli za przykładem Anglików, którzy starannie wstrzymują takie „strażnice" i dla tego też rzadko kiedy narzekają na szkody od myszy.

Takie to tajemnice odkrywa nam nauka, żal tylko, że tak mało z tego korzystamy i ciągle stajemy w sprzeczności z wolą Opatrzności, która tak świat urządziła, że właśnie tam najbardziej mnożą się te ptaki, gdzie się pokazuje zbyt wielkie mnóstwo myszy, i że nawet wtenczas przylatują do nas z innych krajów, jak gdyby je kto wołał? Bóg utworzył równowagę w Przyrodzie; niechaj więc człowiek swem nierozumnem postępowaniem jej nie niweczy i korzysta ze wszelkich stworzeń o tyle tylko, ile mu to jest koniecznie potrzebnem, rządząc się w swych potrzebach rozumem oświeconym nauką. *Ad. N. Nakęski.*

ROZMAITOŚCI.

— **Tracenie dzieci w Chinach.** Dziennik *Espérance*, wychodzący w Nancy, podaje następujące szczegóły o morderstwie dzieci w Chinach. Każdy poddany niebieskiego państwa ma prawo po upływie jednego roku pożycia z żoną, porzucić ją i poślubić sobie drugą. Opuszczona żona posiada prawo życia i śmierci nad swemi dziećmi, których krocie giną coro cznie w Chinach śmiercią ręką matki zadaną. Prawo cierpi te zbrodnie i to powtórne wyzucie się z najświętszych uczuc macierzyństwa. Istnieje nawet w Chinach rzemiosło tracenia dzieci skazanych na śmierć przez nieludzkie matki, a jedna kobieta chełpiła się tem nawet, że wrzuciła 600 dzieci do morza. Dla powstrzymania tych okrucieństw istnieje już od dawna w Hong-Kong religijne stowarzyszenie francuzkie ratunku dzieci, pod nazwą *Oeu-*

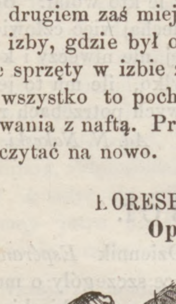
vre de la sinte enfance. Głównem siedliskiem jego jest miasto Chartres we Francji. Płaci ono za każde dostarczone dziecko po 1 franku (200 sapek hińskich), i opiekuje się niemi później wedle możności. W środkowych Chinach przejeżdżają po miastach zrana oddzielne wozy, do których matki jawnie pakują dzieci przeznaczone na stracenie. Głównym powodem do tego jest nędza, bo zdarza się często, że matki oddając towarzystwu swe dzieci, żądają zwrotu gałganów, w których przynoszą zawinięte niemowlęta.

— **Ostrożnie z naftą.** Któż już dziś nie zna nafty! Rozpowszechniła się ona wszędzie po miastach. Przy jej świetle młódź strojna hasa w bogato przybranych salonach, i przy jej świetle nie jeden biedak późno w noc dla tej strojnej młodzi przyrządza to, w czem ona za kilka dni pysznić się może będzie. Dobroczynne skutki nafty czujemy wszyscy — ale niestety bywają zdarzenia, że taż sama dobrze czyniąca nafta i złego napłata nie mało. Nie ona atoli temu głównie winna, ale ludzie, co się z nią obchodzić nie umieją, albo raczej obchodzić się z nią ostrożnie wprost nie chcą. Nafta jest materjałem palnym; sąsiedztwo więc jej z ogniem grozi zawsze wybuchem. Niedawno w Warszawie były dwa takie nieostrożności i nieszczęścia przykłady. Na Krakowskiem - Przedmieściu przyniesiono we dnie naftę do pokoju, w którym paliło się w piecu; nafta się zapaliła, a za naftą zapalił się i spalił sklep jeden i drugi i szkody na jakie kilkanaście tysięcy rubli z tego wynikło, a przytem kilkoro ludzi zostało mocno poparzonych. W drugiem zaś miejscu także przyniesiono naftę w garncu do izby, gdzie był ogień, nafta także się zapaliła i wszystkie sprzęty w izbie zgorzały, a mogła być i większa strata. A wszystko to pochodzi z niezachowania przepisów postępowania z naftą. Przepisy te podawaliśmy już i radzimy je odczytać na nowo.



Kobus.— (Do str. 31-ej).

KORESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu W. S. z Grodzieńskiego.* Artykuł o sztucznem złocie w Nr. 46 z r. z. wyjęliśmy z pisma illustrowanego lipskiego *Familien-Journal*, rzecz więc prosta, że objaśnień żądanych udzielić nie jesteśmy w stanie; pragnąc jednak zadość uczynić życzeniu pańskiemu, odnieśliśmy się doRedakcji tego pisma po bliższe szczegóły i w razie otrzymania takowych, zawiadomić pana nie aniedbamy. W każdym jednak przypadku o dokładne objaśnienie nie będzie łatwo, a to dla tego, że wynalazcy w ogóle ogłaszając o swych wynalazkach nie podają dokładnych szczegółów, pragnąc o ile można sekret zachować dla siebie i wyłączne z niego ciągnąć korzyści. Być może przecież że po kilku próbach doszedłbyś pan do otrzymania mięszaniny mającej własności we wspomnionym artykule opisane, a najwłaściwiej byłoby zacząć próbę od użycia chemicznie czystych materjałów i narzędzi takich, jakie się zwykle do topienia metali używają. Miedź używana na monetę nie jest czystą, przetapiania zaś jej w celach przemysłowych zabrania zarówno prawo jak własny interes, gdyż moneta miedziana, której funt kosztuje 80 kop. jest droższą od miedzi nie pomięszanej z innemi matelami.

— *Panu W. W.* prenumeratorowi z *Leszna.* W ogłoszeniu w Nr. 2 Opiekuna Domowego z r. b. wyraźnie powiedziano „*nowi roczni prenumeratorowie*"; zdaje się że nowi roczni, nieznaczy to samo co „nowo roczni", Litera nocet, litera docet, Oótż my powtarzamy, że tym tylko prenumeratorom nowym, którzy na cały rok 1868 *w Redakcji* zaprenumerują Opiekuna Domowego, wydane zostaną kompleta tego pisma z 1867 r. od 8 do 53 Numeru włącznie.

Od Redakcji:
Opiekuna Domowego, Gazety Rolniczej, Zorzy i Przeglądu Tygodniowego.

Zawiadamia się szanownych prenumeratorów, którzyby po stacjach pocztowych lub w Expedycji Gazet w Warszawie złożyli opłaty prenumeracyjne obowiązujące wr. 1867, iżby raczyli w tychże miejscach dopłacić różnice, jakie wynikają w skutek nowych rozporządzeń pocztowych ustanawiających: że pisma tygodniowe w taki sposób zaprenumerowane, opłacać powinny za *koperty* od każdego exemplarza po rs. 1 k. 50 rocznie. Przypada więc dopłaty do ceny zeszłorocznej: na *Opiekuna Domowego* i *Gazetę Rolniczą* po k. 25,—na *Przegląd Tygodniowy* (wskutek powiększenia objętości pisma) po k. 50— a na *Zorzę* po k. 23 *kwartalnie.* Zatem *cena na r. 1868* jest następująca: na *Zorzę w kopertach k.* **85**— na *Opiekuna Domowego* rs. **1** *na Gazetę Rolniczą* rs. **1** k. 25—na *Przegląd Tygodniowy* rs. **1** k. **50** **kwartalnie** i w tym stosunku półrocznie i rocznie. Pisma te po stacjach pocztowych zaprenumerowane, będą odbierali prenumeratorowie w *kopertach* pod swymi adresami. Kto zaś życzy sobie odbierać te pisma po mniejszej dotychczasowej cenie w *opaskach* ze swoim adresem i do najbliższej stacji pocztowej, w takim razie raczy przesłać na *Zorzę* **kwartalnie** kop. 62 *wprost* do Redakcji pod Nr. 24 ul. Nowy-Swiat—na *Opiekuna* k. 75 *na Gaz. Rol.* rs. 1 **kwartalnie** do Redakcji pod Nr. 715 ul. Solna,—a na *Przegląd Tygodniowy* rs. 1k. 25 **kwartalnie** do Redakcji pod Nr. 24 $^{14}/_{15}$ ul. Nowolipie, i w tym stosunku półrocznie i rocznie. Końcowe dopłaty mogą być przesyłane *markami pocztowemi.*

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.